

Niżej zamieszczamy opowiadanie, którego pojawienie się w redakcji wywołało wiele zamieszania. Ale nie uprzedzamy faktów. Bardzo jesteśmy ciekawi, co Czytelnicy będą o nim sądzić.



Kwantowa planeta

ERNEST PASZYCKI (Technika
Młodzież, 6/1981)

... Człowiek nie rozumiał, co się z nim dzieje. Leżał plackiem na gładkiej płaszczyźnie migoczącej odbiciem gwiazd i nie potrafił ruszyć się z miejsca. Brak mu było jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Wszystko ślizgało się i uciekało, odpływając spod beładnie rozrzuconych rąk i nóg. Okrągły błyszczący kamień, o który chciał się oprzeć, wyslizgnął mu się i zniknął za niedalekim horyzontem. Był bezradny, zupełnie jakby wisiał w przestrzeni w stanie nieważkości. Ale jednocześnie czuł, że siła ciężkości przyciska jego ciało do powierzchni chwiejnego, śliskiego gruntu. Była to jakaś dziwna, jakby dwuwymiarowa nieważkość.

Starał się przypomnieć sobie wszystko, co się z nim działo po wyładowaniu na tej chłodnej, pozbawionej życia planecie, która nie wiadomo skąd znalazła się w przestrzeni międzygwiazdnej. Kiedy włożywszy skafander wy dostał się ze statku i wyszedł poza obręb ciemnego kręgu wypalonego i stopionego silnikami gruntu, stało się z nim coś niezrozumiałego. Poślizgnął się i stracił równowagę. Nie zdołał utrzymać się na nogach, upadł na plecy i zaczął coraz szybciej ześlizgiwać się w dół. Z początku było to nawet przyjemne. Zapierający dech coraz szybszy zjazd, który przypominał mu dzieciństwo; zjeżdżanie z lodowej góry na czym popadło... Ale potem poczuł się nieswojo: wciąż oddalał się od statku, a prędkość nieustannie rosła. Zaczęło nim obracać coraz szybciej i szybciej, i nie było końca tej zwariowanej jeździe i karuzeli. Statek już dawno zniknął mu z oczu, kiedy poczuł, że szybkość stopniowo maleje, a obroty ustają. Czuł się tak, jakby siłą rozpędu wjeżdżał na inną lodową górkę. Potem na moment zatrzymał się, jakby zamarał i znów zaczął ześlizgiwać się w dół, ale już do tyłu. Znów wzrastająca szatańska szybkość, znów doprowadzające do mdłości wirowanie, potem wjazd na górę, zwalnianie... Zdążył zauważyć statek, do którego niosła go bezwładność, ale niedaleko od miejsca, w którym upadł, znów się zatrzymał. W chwilę później ponownie pojechał w dół, coraz dalej od statku. Nie można się było zatrzymać, nie było za co się chwycić. I znów górka, i znów karuzela.

Nie pamiętał, ile czasu trwało to szaleństwo, ile razy przybliżał się do statku i oddalał. Prawdopodobnie na jakiś czas stracił przytomność i teraz leżał zmęczony i bezradny jak przewrócony na grzbiet żółw, na dnie łagodnej, ale głębokiej kotliny z absolutnie gładkimi i śliskimi zboczami. Statku nie było stąd widać i nie wiadomo nawet, w jakim kierunku go szukać. Sytuacja była głupia i zdawała się nie mieć wyjścia. Niestety, nie wziął ze sobą drugiego pilota na ten zwykły, nie zapowiadający żadnych niespodzianek patrol. Oczywiście naruszył instrukcję, kategorycznie zabraniającą opuszczania statku w przypadku, gdy pilot jest sam. Ale kto mógł przypuścić, że ta martwa, niczym nie wyróżniająca się planeta zgotuje mu tak chytrą pułapkę? Tak, w kosmosie zawsze trzeba mieć się na baczności.

Postanowił skoncentrować się i raz jeszcze ocenić sytuację.

Co w istocie wiedział? Że powierzchnia planety jest śliska jak lód? Ale powiedzenie „śliska jak lód” nic w sumie nie znaczy. Wszak ona jest niesamowicie śliska. W tym zapomnianym przez Boga świecie tarcie w ogóle nie występuje. Po prostu go nie ma! Chwileczkę ... przecież zatrzymał się. Przecież skończyły się te nie do zniesienia, wytrząsające duszę i odbierające rozum wahnięcia o rozpiętości kilku kilometrów, zupełnie jak na gigantycznej huśtawce. Znaczy to, że tarcie, choć mizerne, jednak istnieje. Ależ tak, przecież planeta ma atmosferę. Przy dużej szybkości odczuwał nawet lekki napór. To właśnie ten słaby opór hamował go i w końcu zatrzymał. Ale powierzchnia gruntu jest absolutnie śliska i nie ma żadnych szans, żeby wstać lub próbować przepelznąć choć centymetr...

A to co znowu? Obok niego łagodnym łukiem przemknął jakiś podłużny przedmiot. Zaledwie zdążył rozpoznać swój laserowy promiennik, który ot tak, na wszelki wypadek, zabrał ze sobą wychodząc ze statku i który upadając wypuścił. Broń do tej pory ślizgała się w tej diabelskiej jamie. Zresztą na co mu ona teraz? Trzeba coś wymyślić, coś zrobić ... Nóż! Całkiem zapomniał o ostrym tytanowym nożu, przy pomocy którego można wyrąbać stopnie i wy dostać się z pułapki.

Nóż łatwo wchodził w grunt, ale jeszcze łatwiej wyslizgiwał się z otworów, które natychmiast wypełniały się, zaciągały i znikaly bez śladu. Nóż był zupełnie bezużyteczny. Co robić? Zrozumiał, że nie uda mu się stąd wy dostać, dopóki nie rozgryzie do końca zagadki tej lodowatej planety.

Zaczniemy wobec tego od początku. Nieznana planeta błąka się z dala od gwiazd, to znaczy, że jej powierzchnia nie jest ogrzewana ich promieniami. Planeta dawno ostygła i wchłonęła w siebie wieczny chłód wszechświata. Wobec tego temperatura na planecie nie jest wyższa niż 3 kelwiny. Panuje na niej straszliwy mróz ... STOP!

Niemal absolutne zero! A przy takich temperaturach własności substancji zmieniają się w sposób zdumiewający. W tych warunkach mogą wystąpić szczególne kwantowe ciecze. Na przykład ciekły hel w temperaturze poniżej dwóch kelwinów swobodnie, bez żadnego tarcia, przepływa przez najcięższe rurki-kapilary, przesącza się przez najmniejsze otwory i mikroskopijne szczeliny. Łatwo też wypływa po pionowych ściankach naczyń Dewara. Nie bez powodu nazywają go nadciekłym. Podobne własności mają też kwantowe kryształy, które łatwo topnieją przechodząc ze stanu stałego w nadciekły ... Przypomniał mu się film popularnonaukowy wykonany w kriostacie z ciekłym helem, w którym rosły kwantowe kryształy. Od najbliższego dotknięcia lub wstrząsu powierzchnia tych kryształów drżała i burzyła się jak żywa. Poruszały się po niej fale topnienia i krystalizacji, w których chaos cieczy i surowy porządek kryształu kolejno po sobie następowały.

I w tym momencie zagadka wyjaśniła się: wierzchnia warstwa tajemniczej planety jest w istocie jednolitym ... kwantowym kryształem! To jest kwantowa planeta! Człowiek poczuł się teraz lekko, swobodnie i wesoło. Wszystko było już jasne i oczywiste.

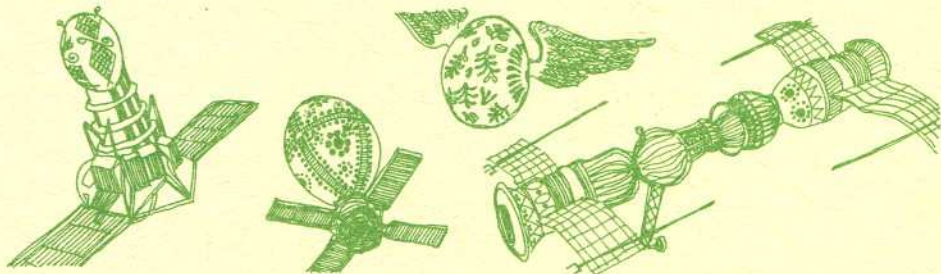
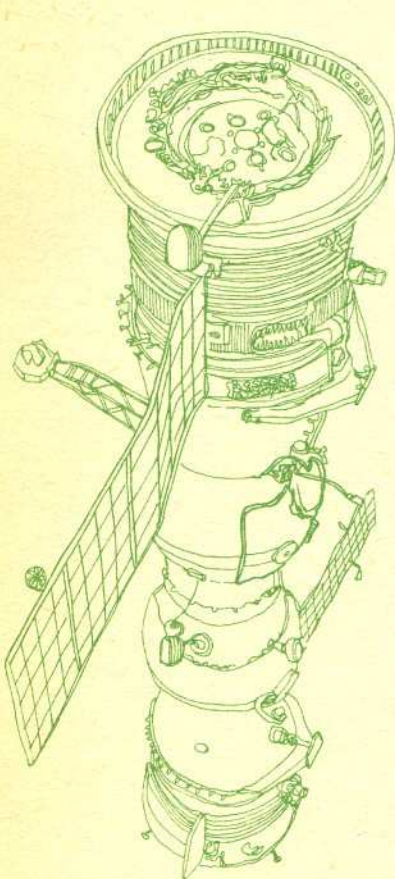
Lód topi się pod łyżwą i cienka warstewka wody, odgrywa rolę smaru, stawarza znakomite warunki do ślizgania. Zupełnie tak samo, nawet przy najlżejszym nacisku, topi się kwantowy kryształ. Tylko że teraz rolę smaru odgrywa nie woda, ale nadciekły, kwantowy płyn całkowicie pozbawiony lepkości. Oto dlaczego powierzchnia gruntu jest tak gładka i śliska. A swoją drogą ciekawe, z czego składa się sam kryształ? Oczywiście nie jest to zestalony hel. Krystalizuje on tylko przy wysokim ciśnieniu, a atmosfera jest tu zbyt rozrzedzona. Może z atomowego wodoru? Taki wodór (w odróżnieniu od zwykłego, składającego się z cząstek dwuatomowych) w stanie skroplonym może być nadciekły. Zamarzając przy bardzo niskiej temperaturze staje się on kwantowym kryształem. Tylko że otrzymać ciekły, a tym bardziej zestalony atomowy wodór jest niezwykle trudno. Pojedyncze atomy wodoru w każdych warunkach dążą do związania się w molekuly. Przeszkodzić temu może jedynie niezwykle silne pole magnetyczne. Ale przy podchodzeniu do planety przyrządy zarejestrowały istnienie bardzo słabej magnetosfery. Skąd więc wziął się atomowy wodór? Czyżby pole magnetyczne planety było kiedyś znacznie silniejsze? Zresztą czas na zastanawianie się nad tym pytaniem przyjdzie później, gdy przyłeci tu specjalna naukowa ekspedycja. A teraz najważniejsze — jak najszybciej się stąd wydostać. Po pierwsze, należy złapać promiennik laserowy, który już kilkakrotnie przelatywał obok, coraz bardziej zbliżając się do dna jamy. Po drugie, za jego pomocą spróbować roztopić i odparować wierzchnią warstwę kwantowego kryształu i dostać się do normalnego podłoża z tak niezbędnym tarcie. Żeby tylko ten przekłety pancierz tu, na dnie kotliny, nie był zbyt gruby. Aha, jest i promiennik! Znowu przybliży się coraz szybciej. Spróbujmy więc zgrabnie się ułożyć i schwytać go. Ech, zdobyć wymknęła mu się, zwinnie prześlizgnąwszy się pod lewą ręką. Zupełnie jak na meczu: błyskawiczny rzut krążka i opóźniona, zwolniona reakcja bramkarza. Gol! Wynik na naszą niekorzyść. Jest tylko drobna różnica. Tutaj krążek ma ze czterdzieści razy większą masę i jeszcze nie wiadomo co będzie, kiedy bramkarz

go złapie. Ale znowu jesteśmy gotowi do walki i oczekujemy na błyskawiczny atak. Krążek mknie teraz z przeciwnej strony, bliżej prawej ręki. Można się więc zawczasu przygotować, oczekiwać uderzenia.

Uderzenie było straszne i nawet skafander nie był w stanie go złagodzić. Od ostrego bólu w ramieniu wszystko pociemniało. Zawirowało w oczach... Kiedy przyszedł do siebie, wszystko wokół — gwiazdzone niebo, lśniące i migoczące zbocza doliny — kręciło się dalej. Zrozumiał, że to on sam się obraca, rozkręcony ogromną energią kinetyczną promiennika. Spojrzał w bok i ze zdziwieniem zobaczył, że laser ślizga się w kółko razem z nim, zaczepiwszy rzemieniem o prawą rękę. Spróbował przyciągnąć go bliżej, ale tylko krzyknął i o mało co znowu nie zemdlął na skutek wściekłego bólu w nienaturalnie wykręconej ręce. Po chwili, oblewając się potem i tracąc niekiedy oddech z bólu i wysiłku, lewą ręką, centymetr za centymetrem zaczął przyciągać ku sobie prawą. Gdy w końcu dosięgnął rzemienia, siły miał prawie całkiem wyczerpane i musiał pozwolić sobie na krótki odpoczynek. Nawet zapadł w drzemkę, ale po chwili zbudziła go trwożna myśl o tym, że grunt pod statkiem może ostygnąć i zaciągnąć się warstwą kryształu. A wtedy, przy najmniejszym nawet nachyleniu, statek zacznie ześlizgiwać się po nadciekłym smarze. Potem wyróci się i — koniec.

Lewą ręką szybko chwycił kolbę promiennika, skierował go lufą w dół i nacisnął spust. Rubinowe, oślepiające błyskawice kolejno rozświetlały przezroczystą, zieloną ciemność, aż wreszcie zobaczył na jasnej powierzchni lodu ciemne, wytopione plamy kamienistego gruntu. Jeszcze kilka wylądowań i mógł przesunąć się na tak upragniony kawałek szorstkiego, twardego i budzącego nadzieję podłoża. Podniósł się na kolana, a później przewyciężając ból w zwichniętej ręce stanął i torując sobie drogę laserowym promieniem powłócił się wąską ścieżką wśród śliskiej kwantowej pustyni w stronę statku widocznego za brzegiem parowu...

Tlum. Ewa i Dariusz MILERSCY



No właśnie. Nasze zdania (tj. redaktorów „Delty”) były właściwie zgodne: ale bzdury! Postanowiliśmy nawet, na przykładzie tego opowiadania, wyrazić nasz pogląd o mnożącej się ostatnio jak króliki (kosmiczne ma się rozumieć) rzeszy autorów i kibiców (nie pomijając trenerów) science-fiction. A pogląd ten jest wcale niepocholebny.

Podstawową sprawą był oczywiście sam pomysł czy też raczej projekt planety i sytuacji fizycznej, w jakiej znalazł się bohater opowiadania. Dla pewności zwróciliśmy się do kilku znanych specjalistów (nazwiska i adresy znane redakcji) z pytaniem, czy przypadkiem czegoś takiego być nie może. Odpowiedź była jasna i pewna: to są absolutnie nonsensowne sytuacje i sprzeczne z fizyką zjawiska.

No więc napisaliśmy błyskotliwy komentarz nie zostawiający suchej nitki na autorze: że w założeniu bzdura, a i szczegóły też nieszczerłone. Mimo wszystko jednak poszperaliśmy po publikacjach o „podchodzącej” tematyce. I wtedy okazało się, że nasz błyskotliwy, dowcipny, chłtoszczący komentarz trzeba wyrzucić. Szczegóły opowiadania są, owszem, nieszczerłone, ale główne założenie się broni.

I tak redakcja „Delty” zapoznała się z pojęciem *kryształ kwantowy*.